

Boże Narodzenie na Śląsku i w Kanadzie



Zofia i Florian Śmieja z rodziną przy wigilijnym stole w domu w Mississaudze.

Florian Śmieja

Niewiele mi zostało wspomnień świątecznych z dawnych lat. Na Śląsku te wielkie dni zwane były godami, a bohaterem było Dzieciątko, nie żaden Mikołaj czy anieli. Ono przynosiło prezenty pod choinkę. Prócz karpia czy lina z ziemniakami i kapustą kiszoną bywała u niektórych moczka, koniecznie makówka, potrawa z bułki, maku i mleka. Tradycyjną gorzką zupę siemieniotkę, z siemienia konopnego długo gotowanego i rozgniatanego tłuczkiem, podawano z kaszą gryczaną zabielaną mlekiem. Jej gorzki smak pasował ją na iście postną potrawę i nie lubiłem jej.

W Kanadzie zasiada do wigilijnego stołu tuzin osób w tym Słoweniec, Włoszka i Ukrainka. Wnuki nie znają języka polskiego. Tym niemniej zachował się zwyczaj łamania opłatkiem przed zupą, którą jest zawsze barszcz z uszkami faszerowanymi grzybami. Te uszka są wielkim przysmakiem więc robimy je i w innych okolicznościach. Karpia zastępuje nieraz łosoś. Wśród ciast faworytem jest strucel z makiem. Po Wilii wszyscy śpiewamy kolędy polskie z dodatkiem angielskich.

Na końcu najmłodsza z gromadki gra rolę aniołka i rozdaje podarunki leżące pod choinką.

Plamy na obrusie.
Boże Narodzenie
w Krakowie
i na Florydzie.



Bożena U. Zaremba

Białe (na stół wigilijny nie może przecież być inny), lniane, z przepięknym ręcznym haftem makowskim. To jeden z ulubionych i bardziej hołubionych przeze mnie podarunków od mojej Mamy. „Będziesz miała na amerykańskim stole kawałek Polski”. Poza tym zdobyczny z czasów, kiedy takie skarby musiało się albo wystać w kolejce, albo załatwić. Zasługuje na to, żeby go co roku wypieścić – prać osobno w płynie do białych rzeczy, lekko nakrochmalić, suszyć na wieszaku, broń Boże nie w suszarce. Potem zwilżyć, zwinąć i na chwilę odłożyć. Tęsknię za instytucją magła, ale cóż, nie ma rady, trzeba prasować ręcznie, Zabiera mi

to około godziny - każdy haft powoli i dokładnie obrysowuję żelazkiem.

Plama. Niezbyt zręcznie nalewalam czerwony barszcz. Ale bylam na siebie zła! Próbowalam potem sprać szarym mydłem, traktować wywabiaczem do plam, wybielaczem (niechętnie), ale ślad został. W końcu dałam za wygraną. Czerwone plamy pojawiają się praktycznie co roku, a to z barszczu, a to z buraczków czy brusznicy, które obowiązkowo podaję do kaczki w pierwszy dzień Świąt. Potem są beżowe od kompotu z suszonych śliwek, a może od makowca? Zielone od świeżych gałązek sosnowych ze stroika, jasne, tłuste od świec. Plamki, jak koraliki na sznureczku, opowiadają o tradycjach bożonarodzeniowych naszej rodziny.

Od początku Świąt spędzonych poza krajem starałam się celebrować polskie i rodzinne obrzędy jak najwierniej, choć nie zawsze jest to możliwe. W wielu miejscach, gdzie mieszkaliśmy nieosiągalny był mak albo karp, a mrożony jest przecież zupełnie bez smaku. Pamiętam, jak w Polsce stało się po karpia w kolejce - długo, często na mrozie i wietrze. Przywiozą, czy nie przywiozą? W końcu jest, ale sprzedawczyni od razu uprzedza, że dostawa nieduża. Na jakieś piętnaście osób przed nami zabrakło. „Cholera jasna!” kipi facet przed nami. „Co za banda!” oburza się ktoś inny. A mój Tato? Obrócił się na pięcie i pogodnie zaintonował: „Były rybki, nie ma rybek”. Zawsze pogodny i

optymistyczny. Mama była zdecydowanie bardziej napięta. No, bo mimo pomocy domowników, przecież tyle roboty – świąteczne porządki, zakupy i tyle gotowania i pieczenia: makowiec, cwibak, pierniczki. Na szczęście karpem nie musiała się specjalnie przejmować, bo należał do obowiązków Taty. Jakoś zawsze go „zdobył”. Potem wpuszczał do wanny na kilka dni. Raz na jakiś czas trzeba było dolewać wody, żeby dostarczyć świeżą porcję tlenu – ryby tłoczyły się pod kranem i chciwie łapały strumień. Chowalam się, jak szły na szafot....

Brak niektórych potraw zastąpiłam innymi tradycjami, których w moim domu rodzinnym nie było. Wigilię zawsze rozpoczyna gwiazda muzyczna: jazzowa, czarowna interpretacja „Cichej nocy” w wykonaniu tria Andrzeja Jagodzińskiego. Czytanie z Ewangelii o przyjściu na świat Jezusa. Ale nie zawsze musi być powaga. Na przykład do kilku uszek, do farszu, chowam albo orzeszek, albo migdał, na szczęście. Ale radocha, jak się komuś takowy przytrafi! Potem zgadujemy, ile było wszystkich uszek. „91” mówi syn. „Mniej”, odpowiadam. „57” mówi córka. „Więcej” ... Wigilijna wieczerza zawsze jest także chwilą podsumowania całego roku. Jakie sukcesy nas spotkały? Co nas wzruszyło, zmartwiło, zachwyciło?





Znowu czerwona plama. Może od wina? W moim rodzinnym domu do Wigilii nie pijało się ani wina, ani innego alkoholu, który w ogóle rzadko gościł na stole. Kalifornia, nasz pierwszy przystanek w Ameryce, nauczył nas delektować się winem, które jest przecież częścią liturgii. Tak jak chleb – na naszym stole chałka, co dopiero z pieca wyjęta, błyszcząca i brzuchata! W czasie Wigilii zawsze tak, jak opłatek, łamiemy ją, nigdy kroimy.

Św. Mikołaj przychodził do nas w Polsce 6 grudnia, ale w Wigilię wypatrywałyśmy z siostrą Gwiazdora, zawsze z dreszczykiem

podniecenia, chociaż w czasach, kiedy wszystkiego brakowało, z prezentami było kruczo. To często były książki, czasem jakiś kołnierzyk z kordonku zrobiony przez Mamę albo sweter czy szalik przez nas wydziergany. Dostawałyśmy też pomarańcze – w tamtych czasach rarytas. Do dzisiaj pachną dla mnie egzotycznie i noszą w sobie odświeżoną aurę. Jako dziecko nie mogłam się nadziwić, jak to możliwe, że za każdym razem przegapiłam Gwiazdora. Powiewająca na wietrze firanka i trzepocąca głośno okienna framuga dawały znak, że właśnie był i zostawił pewno pod choinką upominki. Dla naszych dzieci czar wiary w Św. Mikołaja dawno już zniknął, ale urok atmosfery niespodzianki jest zawsze obecny, gdy nagle, w jakiś magiczny sposób pojawia się przy drzwiach worek pełen prezentów.

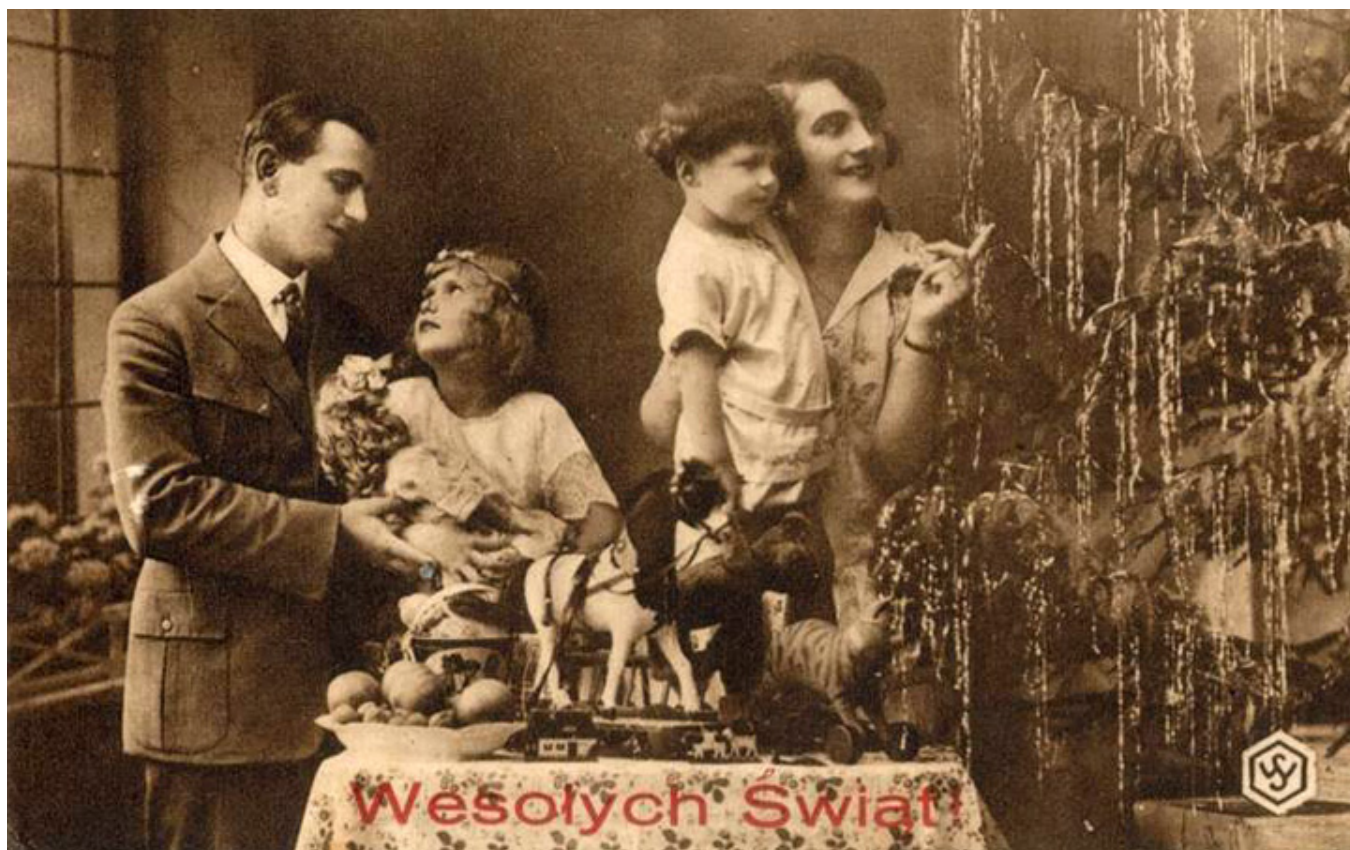
Ręka boli mnie już od przyciskania żelazka, ale podziwiam finezyjne hafty. Jaka perfekcyjna robota! Przypominają mi się ozdoby na choinkę robione z aptekarską precyzją przez mojego Tatę. Dość wcześnie odszedł od zawodu architekta i właśnie do takich zajęć wykorzystywał swoje wspaniałe zdolności manualne i artystyczne. Z wydmuszek (ale przewracał oczami z zachwytem spijając jajko!) robił główki pajacyków, potem malował flamastrem roześmiane buzie, z gofrowanej bibułki robił misterne kryzy, a z kolorowego papieru różnobarwne czapki. Na czubku zawiązywał sznureczek i takie, jedyne w swoim rodzaju zabawki wieszaliśmy na choince. Po latach bibułka wypłowiała, wydmuszki się wykruszyły, dawno już z nich nic nie zostało. Na

naszej amerykańskiej choince ozdoby własnoręcznie robione w czasach wczesnoszkolnych przez nasze dzieci uzmysławiają nam co roku, jak czas upływa.

Jeszcze ostatni rzut oka, czy nie przeoczyłam jakiegoś miejsca, potem ostrożnie składam obrus tak, żeby hafty nie wypadły na zgięciach. Złożony, wygłaskany, wypieszczony chowam - na następny rok.

Święta Bożego Narodzenia w naszym polskim domu. Łódź

lata 50. XX w.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Barbara M.J.Kukulska

Johannesburg, Republika Południowej Afryki

Wspomnieniem sięgam do mojego domu rodzinnego. W naszym domu mieszkało wiele osób, choć praktycznie była nas czwórka; rodzice, mój starszy brat Zbyszek i ja. Jednak zawsze gościł ktoś

potrzebujący pomocy.

Mieszkanie w kamienicy w Łodzi było metrażowo duże, ale znajdowały się tylko trzy pokoje i rozmieszczenie dodatkowych osób wymagało specjalnego ustawienia mebli. W tym była niezastąpiona moja matka, która potrafiła w parę godzin całkowicie poprzestawiać ciężkie meble w całym mieszkaniu, czym doprowadzała mnie do rozpacz, gdyż gubiłam się! Tylko miarowe cykanie i wybijanie godzin, dawało znać gdzie znajduje się olbrzymi wahadłowy zegar. Uspokajało, że jednak to jest moje mieszkanie.

Zanim poszłam do szkoły, przez kilka lat mieszkała z nami babunia Zofia, urodzona warszawianka, ale dorosłe życie spędziła w Poznaniu. Posługiwała się językiem niemieckim biegle, tak jak polskim i kiedy byłyśmy same bardzo często mówiła do mnie po niemiecku, aby mnie nauczyć tego języka. Rodzice niechętnie na to patrzyli, gdyż uważali, że w pierwszym rzędzie powinnam znać język ojczysty. Babunia zaprzestała rozmów po niemiecku, ale nauka nie poszła w las i dużo później okazało się, że znam ten język.

Znajomość języka niemieckiego miała kolosalne znaczenie właśnie przed świętami Bożego Narodzenia. W tych ciężkich czasach przełomu lat 50. zeszłego stulecia, niezwykle trudno było zdobyć jakiegokolwiek prezenty. Dlatego kilka miesięcy

wcześniej jak coś pokazało się w sklepie, rodzice kupowali i chowali skrzętnie przed nami, aby nam zrobić niespodziankę w wieczór wigilijny. Po kupnie prezentu dorośli dyskutowali, co komu dadzą. Śmieszne dla mnie było to, że mówili otwarcie w obecności dzieci, myśląc, że porozumiewają się „sekretnym językiem” czyli po niemiecku, a my nic z tego nie rozumiemy.

Powiem szczerze, dziwiłam się mając cztery lata, dlaczego przy mnie omawiają różne tajemne sprawy i zaznaczają, że nie wolno o tym mówić Basi! I tak filozofowałam, że doprawdy trudno zrozumieć dorosłych, a szczególnie moich rodziców! Zatem, aby nie zrobić im przykrości, grałam razem z nimi, że nic nie rozumiem i nic nie wiem! Pocieszałam się, że może ktoś z dalszej rodziny prześle paczkę, czy przyjedzie na święta z prawdziwą niespodzianką. Rozpalało to moją wyobraźnię, co dostanę i nawet jeśli wiedziałam, że będzie to upragniona laleczka, to w myśli tworzyłam obrazy uszytych dla niej sukienek.

Krótko po II wojnie światowej nie przelewało się nikomu. A jednak święta obchodzone były nadzwyczaj uroczyście i miały swój niepowtarzalny urok.

Już co najmniej miesiąc wcześniej w każdym domu przystępowało się do wykonywania ozdób na choinkę: łańcuchów sklejanych z kolorowych papierków, gwiazdek i koszyczków plecionych z białych paseczków, malowania wydmuszek z jajek i robienie z nich lalek i pajaców do wieszania na choinkę. Na czubku drzewka koniecznie musiała być zamieszczona gwiazda symbolizująca gwiazdę



betlejemską. Im bardziej była okazała, tym więcej pochwał dostawali gospodarze od gości odwiedzających w czasie świąt.

Najwięcej starania pochłaniało przygotowanie szopki. Nie na próżno się mówi, że „potrzeba jest matką wynalazków”. Zupełnie nie mogłam zrozumieć intencji mojej babuni Zofii, kiedy powiedziała, że przygotowujemy szopkę betlejemską, ale wpierw musimy iść na targ. Wybrałyśmy się na Zielony Rynek, a tam było pełno wozów ze wsi z różnymi towarami: gdakające kury i piejące koguty w koszykach, jajka, ziemniaki, sery, mąka, kasze w dużych worach, a na końcu rynku: stały stłoczone beczące owce i kozy.

Babunia podeszła do wieśniaczki i poprosiła o kilka piór i słomę,

a od właściciela owiec dostała trochę runa. Z takimi trofeami wróciliśmy do domu. Miałam wtedy cztery, może pięć lat i wszystko nadzwyczaj mnie dziwiło.

Siadaliśmy do stołu, na którym poukładane były kromki chleba, kolorowe ścinki tkanin, słoma, sucha trawa, kawałki desek, kolorowe papiery i farby. Najpierw trzeba było użuć chleb, aby stanowił gęstą masę, z której lepiliśmy figurki Rodziny Świętej, Aniołów, pasterzy, zwierząt. Babunia, która malowała piękne obrazy i miała złote ręce do prac artystycznych, kierowała naszymi pracami. Jej postacie były wypracowane, ona też uczyła jak mają być wykonane stroje Matki Boskiej, Świętego Józefa i pasterzy. Każdy chciał ubierać w koszulkę Pana Jezuska, ale babunia wybierała sprawiedliwie tylko ładne i starannie wykonane prace. Lepiliśmy też owieczki i przystrajane były runem, Aniołowie mieli przytwierdzone prawdziwe pióra. Dach stajenki przykryty był słomą, a żłóbek wypełniony aromatyczną trawą. Umocowana była kometa nad stajenką w Betlejem. Podczas wielogodzinnego wspólnego siedzenia, opowiadane było przez dorosłych życie Świętej Rodziny, jazda na osiołku i narodziny Dzieciątka w ubogiej szopie. Słuchałam tych opowiadań z zapartym tchem, jak Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy, a poprzez wspólne tworzenie stajenki betlejemskiej, przeżywałam życie Małego Jezusa jako osoby znanej mi i bliskiej.

Na zakończenie wszyscy uważaliśmy zgodnie, że wykonanie

szopki było najważniejsze i najciekawsze. Szopka była gotowa. Łańcuchy i uplecione gwiazdki czekały w pudełku na dzień wigilijny, kiedy miały zostać powieszono na choince.

Niebywałym wyczynem było zdobycie pachnącego świerku lub jodły. Ponieważ mieszkanie było wysokie na 4,5 metra, więc i choinka musiała prezentować się okazale i sięgać do sufitu! Nie mogliśmy doczekać się na ten upragniony dzień ozdabiania naszego drzewka.



Tradycyjnie cały rytuał rozpoczynał się w godzinach rannych w

wigilię. Zapach iglastego lasu unosił się w całym mieszkaniu zmieszany z aromatami kuchennymi i wypiekami drożdżowych ciast. To wszystko wpływało na atmosferę podniecenia przed najważniejszym momentem dla dzieci: szukania prezentów pozostawionych pod choinką przez świętego Mikołaja. W ozdabianiu drzewka brała udział cała rodzina i przyjaciele. Do umieszczenia na czubku choinki gwiazdy pieczołowicie wykonanej i posypanej brokatem, aby się świeciła, trzeba było użyć wysokiej drabiny, którą mieli nasi sąsiedzi. Przy okazji pożyczania i oddawania drabiny, odwiedzało się sąsiadów składając życzenia.

Na drzewku wypełniającym swoimi rozłożystymi konarami niemalże pół stołowego pokoju wisiały oprócz ręcznie wykonanych ozdób, szklanych błyszczących bombek, również smakołyki: cukierki w kolorowych papierkach, orzechy, wyglansowane i błyszczące czerwone jabłka i inne owoce. Owoce same w sobie były już rarytasem na który można było tylko patrzeć i podziwiać. Aby dostać jabłko z drzewka, musiałam bardzo się starać i zasłużyć na tę nagrodę za dobre zachowanie. Przedtem jednak przez wiele dni wpatrywałam się w smakołyki i ciekła mi ślinka od patrzenia!

Ubrana choinka z zapalonymi woskowymi świeczkami wzbudzała zachwyt nie tylko dzieci, ale dorośli też byli pod urokiem tego wigilijnego wieczoru.

Choć czasy były ciężkie i trudno było zdobyć karpia, śledzie, czy szynkę na świąteczny stół, to zawsze w jakiś magiczny sposób udawało się coś kupić.

Bardzo pomocni w dostarczaniu żywności, byli wujostwo Maria i Wacław Tarnowscy, mieszkający w Dobrzelinie pod Kutnem. Wujek przed II wojną światową i po wojnie był głównym udziałowcem w Cukrowni Dobrzelin, gdzie też był zarządcą.

Dzięki hojności wujostwa moi rodzice przetrwali wojnę, a później nie umarli z głodu. Wujek Tarnowski przelał całe uczucia na mnie, po śmierci swojej córki Wandy w kanałach w czasie Powstania Warszawskiego. Byłam adorowana przez tego uroczego starszego pana, który traktował mnie jak prawdziwą damę, choć miałam zaledwie cztery lata!

Biała serweta, siano pod obrusem, udekorowany gałązkami stół, nakrycie dla niespodziewanego gościa (zawsze ktoś przyszedł i trzeba było dostawiać nie tylko talerze, ale i krzesła) oraz na półmiskach potrawy dekoracyjnie ułożone, dawały nastrój wyjątkowy. Tradycyjne potrawy wigilijne przygotowywane były według dawnych rodzinnych receptur. Każdy region Polski miał odrębne zwyczaje i moi rodzice, którzy pochodzili z różnych stron Polski, zawsze uzgadniali, która z potraw będzie serwowana.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

Przychodzili goście, aby wspólnie świętować Narodzenie Pana. Bardzo oczekiwani byli wujostwo Brzezińscy mieszkający kilka domów dalej na tej samej ulicy Gdańskiej. Wujek Wacek wykładał w Konserwatorium Muzycznym, które znajdowało się naprzeciw naszej kamienicy. Wujek był synem sławnego profesora Wacława Brzezińskiego, który wylansował śpiewaka Janka Kiepurę. Wujek Wacek miał operowy głos, jego żona Basia pięknie śpiewała i wspólnie z moją matką, która miała sopran koloraturowy tworzyli doskonałe trio. Ktoś z przyjaciół pianistów akompaniował przy zgaszonym świetle. Paliły się świece w lichtarzach pianina i błyszcząca choinka z zapalonymi świeczkami. Pełną piersią śpiewaliśmy kolędy i nam dzieciom,

wydawało się, że to śpiewają sami Aniołowie. Nigdy później w moim życiu nie słyszałam tak profesjonalnie wykonanych pieśni bożenarodzeniowych.

Wśród prezentów zostawianych przez świętego Mikołaja zawsze znajdowały się kalendarzyki na następny rok, z życzeniami aby był pomyślny i upłynął spokojnie. Tym „Mikołajem” był mój tatuś, który poprzez pozytywne życzenia prowokował dobry los do spełnienia oczekiwań. Muszę przyznać, że te kalendarzyki były jakby czarodziejskie, tworzyły dobry klimat i pozwalały myśleć o nadchodzącym Nowym Roku jako o zwiastunie nadziei na lepsze jutro.

W okresie Bożego Narodzenia, pod koniec lat 40. XX wieku, Politechnika Łódzka gdzie pracował mój ojciec, urządzała dla dzieci pracowników spotkanie ze świętym Mikołajem, który rozdawał paczki ze słodyczami i owocami. Wielkim luksusem w paczce była pachnąca pomarańcza. Spotkania były bardzo uroczyste. Panowie profesorowie witali się z dziećmi poprzez podanie ręki i elegancki ukłon. Grzecznościowo zamieniali też kilka słów z każdym dzieckiem. Następnie były konkursy recytacji i piosenek. Oklaskami zgromadzeni nagradzali zwycięskie dziecko. A potem poprowadzeni przez wodzireja tworzyliśmy taneczny łańcuch oplatający całą salę balową, która w tym dniu była udekorowana lampionami i łańcuchami. Śpiewaliśmy kolędy i chrupaliśmy orzechy. Spotkania

przygotowane były doskonale. Dopiero parę lat później na skutek oficjalnych komunistycznych zarządzeń, spotkania bożenarodzeniowe zmieniły nazwę na witanie Dziadka Mroza. Nikt z dzieci nie cieszył się już tak jak dawniej, gdy witał nas święty Mikołaj.

Dni świąteczne mijały szybko i wykładnikiem upływającego czasu, była sypiąca igłami choinka. Aż wreszcie, kiedy straciła cały swój majestat i krasę, była rozbierana. Na suchych gałęziach zostały jedynie łańcuchy, białe gwiazdeczki i bombki. Zniknęły owoce, cukierki i orzechy. Część z nich, szczególnie te, które wisiały wysoko, była zdejmowana oficjalnie i w nagrodę obdarowywani byliśmy za dobre zachowanie, jednak znaczna część zniknęła bez śladu, nie wiadomo było czy to ktoś nocą potajemnie zdejmował z drzewka, czy też niby przez nieuwagę „strącił” czerwone jabłuszko.

Mijały święta mojego dzieciństwa, tak długo oczekiwane, ale pamięć związana z przeżyciami i przygotowaniem pozostała na zawsze, jako czas niezwykły, gdy zwierzęta mówią ludzkim głosem, a Aniołowie schodzą z nieba aby spełnić ludzkie życzenia.



Święta Bożego Narodzenia na starej pocztówce.

“Dziadek” Józef Piłsudski

150-ta rocznica urodzin Józefa Piłsudskiego



Włodzimierz Wójcik

Przed rokiem 1939 w świadomości ogółu funkcjonowało pojęcie „Dziadka” utożsamiane z Józefem Piłsudskim. Powszechnie wiadano, że - urodzony w Zułowie na Litwie w 1867 roku, a więc już po upadku powstania styczniowego - był człowiekiem, który już pod koniec minionego stulecia rozpoczął walkę i działalność spiskową przeciw zaborcom; przeżył kilkuletnią zsyłkę syberyjską, na początku naszego wieku formował siły zbrojne, by po 1918 budować zręby nowego ładu Niepodległej Polski.

Skąd wzięło się pojęcie „Dziadka”- Piłsudskiego? Sprawę można tłumaczyć niejako w dwojaki sposób. Kiedy na gruncie krakowskim i zakopiańskim na progu naszego stulecia Piłsudski zaczął tworzyć związki strzeleckie, podwaliny przyszłej armii polskiej, masowo garnęli się do niego młodzi, nawet bardzo młodzi ludzie, różnych stanów i profesji oraz niemal ze wszystkich zaborów; w tym ze Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego: a więc z Cieszyna, Katowic, Sosnowca, Czeladzi, Będzina, czy Dąbrowy Górniczej oraz wielu innych miejscowości naszego regionu. Po wybuchu

wojny światowej, kiedy to 6 sierpnia 1914 roku „pierwsza kompania kadrowa” z Tadeuszem Kasprzyckim na czele, z rozkazu Komendanta Pierwszej Brygady Legionów, Józefa Piłsudskiego, wyruszyła z krakowskich Oleandrów w bój przeciw Moskalom, ów komendant miał 47 lat. Jego chłopcy, w „szarych” maciejówkach i w „szarych”, prostych mundurach, palący się do walki, często byli po prostu szesnastoo siedemnastoletnimi „gołowąsami”. Pewna różnica wieku - około lat trzydziestu - istniała, to prawda; ale nie była metrykalnie aż tak wielka, aby uprawniała do nazywania go „dziadkiem”. Więc, co?

Wyjaśnienie znajdzie się zapewne wówczas, gdy spróbujemy spojrzeć na rzeczywiste funkcjonowanie znaczenia tego rzeczownika na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Nie czas i miejsce na wertowanie słowników. Posłużmy się po prostu cytatem pierwszej zwrotki wiersza młodopolskiego poety, zresztą żołnierza legionowego, Jerzego Żuławskiego, wiersza pod tytułem Do moich synów:

Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzył świat,
szukając drogi przez krew i blizny

do naszej wolnej Ojczyzny!

Widać tedy, że znaczenie tego pojęcia okazuje się w świetle przytoczonych wersów dość jasne. „Dziadek”, to ten członek rodziny, który jest fundamentem tradycji walki narodowo-wyzwoleńczej; jest otuchą dla całego rodu, ostoją wartości wyższego rzędu, spoiwem duchowym, mądrością i dzielnością. Dalsza egzegeza nie jest konieczna. To wystarczy.



Józef Piłsudski w swoim dworze w Sulejówku pod Warszawą, 1925 r., fot. Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku.

„Komendant”, „Brygadier”, „Ziuk” i w jednej osobie „Dziadek” bywał ze swoimi strzelcami wszędzie. Dzielił z nimi niebezpieczeństwa i niewygody, sypiał z nimi w jednej izbie, jadał te same, co oni, potrawy. Po prostu ich cenił i lubił. Nic dziwnego, że ci szukali każdej okazji, aby mu okazać szacunek i zwyczajną miłość. Nazywając go „Dziadkiem” starali się akcentować ideowe pokrewieństwo z nim jako uosobieniem ofiarnej walki o wolną Polskę, o którą przez dziesięciolecia modlili się swoją poezją wielcy romantycy. Dlatego też 19 marca każdego roku szły ku Piłsudskiemu najcieplejsze myśli jego żołnierzy, wszystkich polskich patriotów, starych i młodych, zwłaszcza jednak dzieci, które nad wyraz autentycznie uwielbiał i które rozumiał.

W tych okolicznościach w czasie wojny, w okopach, na postoju, w czasie marszu, rodziły się wiersze i teksty piosenek o ulubionym wodzu, co „jedzie, jedzie na Kasztance” w „szarym” stroju, ale ma „serce ze złota”. Za sprawą wybitnych poetów, a i zwykłych amatorów, powstawały „powinszowania w dniu imienin”. Po skończonych działaniach wojennych, w Niepodległej Polsce, na imieniny Józefa do Belwederu i Sulejówka spontanicznie płynęła prawdziwa rzeka szczerych życzeń, w tym życzeń mających kształt poetycki. Także po 1935 roku, a więc po zgonie Pierwszego Marszałka, co roku 19 marca pod jego portretem składano kwiaty, urządzano uroczystości, recytowano wiersze.



Józef Piłsudski i Ignacy Jan Paderewski, 1919 r.

Drogi narodu polskiego do Niepodległej symbolizowane były nazwiskami zasłużonych ludzi pochodzących z najrozmaitszych obozów politycznych. Ignacy Daszyński, Wincenty Witos, Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Wojciech Korfanty - to wspaniałe postacie. Pośród nich nazwisko Józefa Piłsudskiego świeci szczególnym blaskiem; jest to postać odznaczająca się charyzmą, a on sam jest dla nas bezustannie opromieniony prawdziwą legendą...

Piłsudski stał się symbolem i synonimem Niepodległości. Internowany przez Niemców w lipcu 1917 roku więziony był w twierdzy w Magdeburgu. Nie chciał bowiem złożyć przysięgi na wierność wobec państw centralnych. Przez ponad rok żył w

osamotnieniu i z dala od Ojczyzny. Z czasem więzienną niedolę dzielił z nim jego najbliższy współpracownik w działalności niepodległościowej, Kazimierz Sosnkowski. Więziony przez Niemców Piłsudski w świadomości swoich rodaków stawał się z dnia na dzień w coraz większym stopniu uosobieniem romantycznych bohaterów, którzy poświęcali życie za Ojczyznę. Wielu czytelnikom dramatów Mickiewicza jawił się po prostu jako uosobienie Konrada osadzonego w celi klasztoru Ojców Bazylianów w Wilnie, zamienionego na więzienie stanu. W końcu 1918 roku, gdy zaborcze imperia zaczęły się rozpadać w wirach wojny światowej, Józef Piłsudski został zwolniony. Zjawił się w Warszawie wieczorem 10 listopada zmęczony i wyczerpany. Następnego dnia powołany został na urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa Polskiego, później na Naczelnika. W wielu utworach literackich pisano o nim jako o uosobieniu innego Naczelnika - legendarnego bohatera narodowego spod Racławic, Tadeusza Kościuszki. Z czasem dzień 11 listopada został uznany dniem Święta Niepodległości.

Wielki polski blef



fot. pinterest

Florian Śmieja

Ponieważ dobrą historyjkę można opowiedzieć wiele razy, ja także to, co wam opowiem, relacjonowałem kilkakrotnie. Lecz za każdym razem jest ona nieco inna, niepewna pamięć jest o niej mniej przekonana, błędna szczegóły i gubią się, choć nie zmienia się aura oraz zdumienie czytelnika i słuchacza.

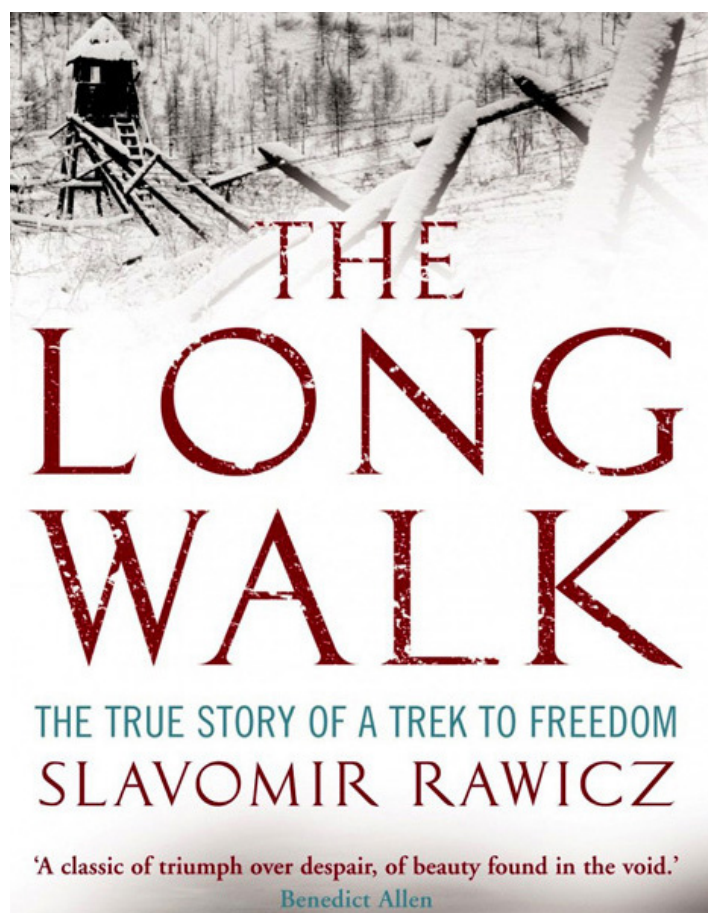
W latach sześćdziesiątych byłem wykładowcą literatury i języka

hiszpańskiego na angielskim uniwersytecie w Nottingham. W tym mieście położonym w środkowej Anglii wychodząca w Londynie gazeta „Dziennik Polski” zorganizowała doroczny w owym okresie wybór Miss Polonii. Jakimś trafem zostałem dokooptowany do jury, które miało wybrać najszykowniejszą Polkę. Zapamiętałem, że w skład pań wchodziła autentyczna angielska lady oraz popularna piosenkarka Renata Bogdańska inaczej mówiąc, generałowa Andersowa. Wśród mężczyzn frapował tajemniczy Sławomir Rawicz, intrygujący bohater głośnej książki „The Long Walk” czyli „Długiego marszu”. Nie mogę sobie darować gapiostwa, tego, że nie przypatrzyłem mu się dokładniej, bym go mógł dzisiaj rzetelnie opisać.

W tamtych latach wywołał on w Wielkiej Brytanii sensację, jako protagonista rewelacyjnego reportażu. Przedstawiono go w nim jako polskiego oficera kawalerii aresztowanego przez Sowietów w listopadzie 1939 roku i skazanego na 25 lat ciężkich robót.

Pociąg z transportem więźniów, wedle tych relacji, jechał trzy miesiące na wschód. Warunki i ciężka zima pochłonęły wiele ofiar. Obóz 303 wedle załączonej do książki mapy, leżał na południowy zachód od Irkucka. Mimo tych ogromnych odległości, Rawicz zaczął myśleć o ucieczce. Wtajemniczył w swój plan kilka osób, Polaka, Litwina, Łotysza, Jugosłowianina i Amerykanina. Puścili się w szaleńczą drogę. Przy jeziorze Bajkalskim dołączyła do nich Polka, Krystyna. Przekroczyli tory kolei transsyberyjskiej

i weszli do Mongolii. Podczas upalnego sierpnia przebyli pustynię Gobi. Tam z wycieńczenia zmarła Krystyna, a po niej, jeden z mężczyzn. Omijali miasta, jedli węże, żeby przeżyć. Droga wiodła rubieżami Chin do Tybetu. Widmowe postacie szukały u Tybetańczyków żywności i schronienia. Przebyli szczyty Himalajów i dotarli do Indii. W szpitalu w okolicy Kalkuty potem powoli wracali do zdrowia.





Rawicz po licznych przesłuchaniach, dostał pozwolenie, by dołączyć do wojska polskiego stacjonującego w Iranie.

Podyktował swoją opowieść dziennikarzowi angielskiemu Ronaldowi Downingowi. Dramatyczny wyczyn wywołał w Wielkiej Brytanii ogromne poruszenie. Książka rozeszła się w półmilionowych nakładach, ukazały się przekłady na dwadzieścia kilka języków. Eksperti od Dalekiego Wschodu nie mogli wyjść ze zdumienia. Nie wierzyli, by grupa więźniów mogła dokonać tak niebywałego wyczynu. W telewizyjnych i radiowych spotkaniach z Rawiczem bez końca dyskutowano i kłócono się o szczegóły, kwestionowano i zaprzeczano. Protagonista

usprawiedliwiał się i wikłał w zeznaniach, bronił się, ale wielu sceptyków nie przekonał. Odezwały się liczne głosy niedowiarków, ale książka sprzedawała się znakomicie. Po czasie, kiedy strony nie potrafiły dojść do zgody, empiryczni Anglicy radzili przenieść w bibliotekach książkę z działu „autobiografii” do „beletrystyki”.

Bohater epopei zmarł w 2004 roku. Dochodzenia wykazały jednak, że Rawicz wyszedł z wojskiem polskim ze Związku Sowieckiego na zasadzie amnestii w 1942 roku i żadnego rewelacyjnego marszu nie dokonał, a inny Polak, Witold Gliński, ogłosił w maju 2009 roku, że to on był właściwym protagonistą książki.

Niemniej fantazja i tupet Rawicza już w 1955 roku zwróciły uwagę i zainteresowanie na Zachodzie na okryte tajemnicą realia sowieckiego kolosa, o którym wnet potem zaczęły krążyć intrygujące plotki i domysły, aż do jego ostatecznego zdemaskowania i upadku.

Honor i Ojczyzna



Wojciech Kossak (1856 - 1942) W GALOPIE, 1928 olej, płótno / 79 x 101 cm sygn. l.d.: Wojciech Kossak / 1928.

Zdzisław Najder

Te dwa słowa można uznać za kluczowe dla całej tradycji etosu rycerskiego.

Honor i Ojczyzna. Wyszywane na sztandarach, były - na mocy uchwały Sejmu Ustawodawczego - od roku 1919 dewizą Wojska Polskiego, odrodzonego po okresie zaborów. W roku 1943, i ponownie 1993, dodano do niej jeszcze słowo „Bóg”. Skąd się one wzięły? Z dewizy „Honneur et Patrie” na orderach francuskiej Legii Honorowej. Przecież nasi rodacy zaczęli walkę o odzyskanie niepodległości pod francuskimi sztandarami. Polacy, zaraz po Francuzach, są najliczniejszą grupą wśród odznaczonych tymi sławnymi orderami, ustanowionymi przez Napoleona I.

W pierwszej wojnie stoczonej przez to wojsko, wielkiej rozprawie z bolszewicką Rosją, Francja była naszym jedynym, choć odległym, sprzymierzeńcem. Oba słowa mają za sobą długą historię, liczącą ponad dwa tysiące lat. Można je uznać za podstawowe dla całej, znacznie starszej, tradycji etosu rycerskiego. Etosu, to znaczy zespołu zasad i obyczajów, który największą rolę odgrywał w Średniowieczu, a w Polsce, na skutek jej szczególnych dziejów społecznych i politycznych, do połowy ubiegłego wieku. Etosu, który był od początku ściśle związany z zawodem żołnierza.

Zamierzam przyjrzeć się historii i odmianom tego etosu. Widzimy go we wczesnośredniowiecznej Francji i dziewiętnastowiecznej Polsce, w Japonii samurajów oraz na amerykańskim Dzikim Zachodzie. Proste pojęcia, które go zwykle opisują, takie jak

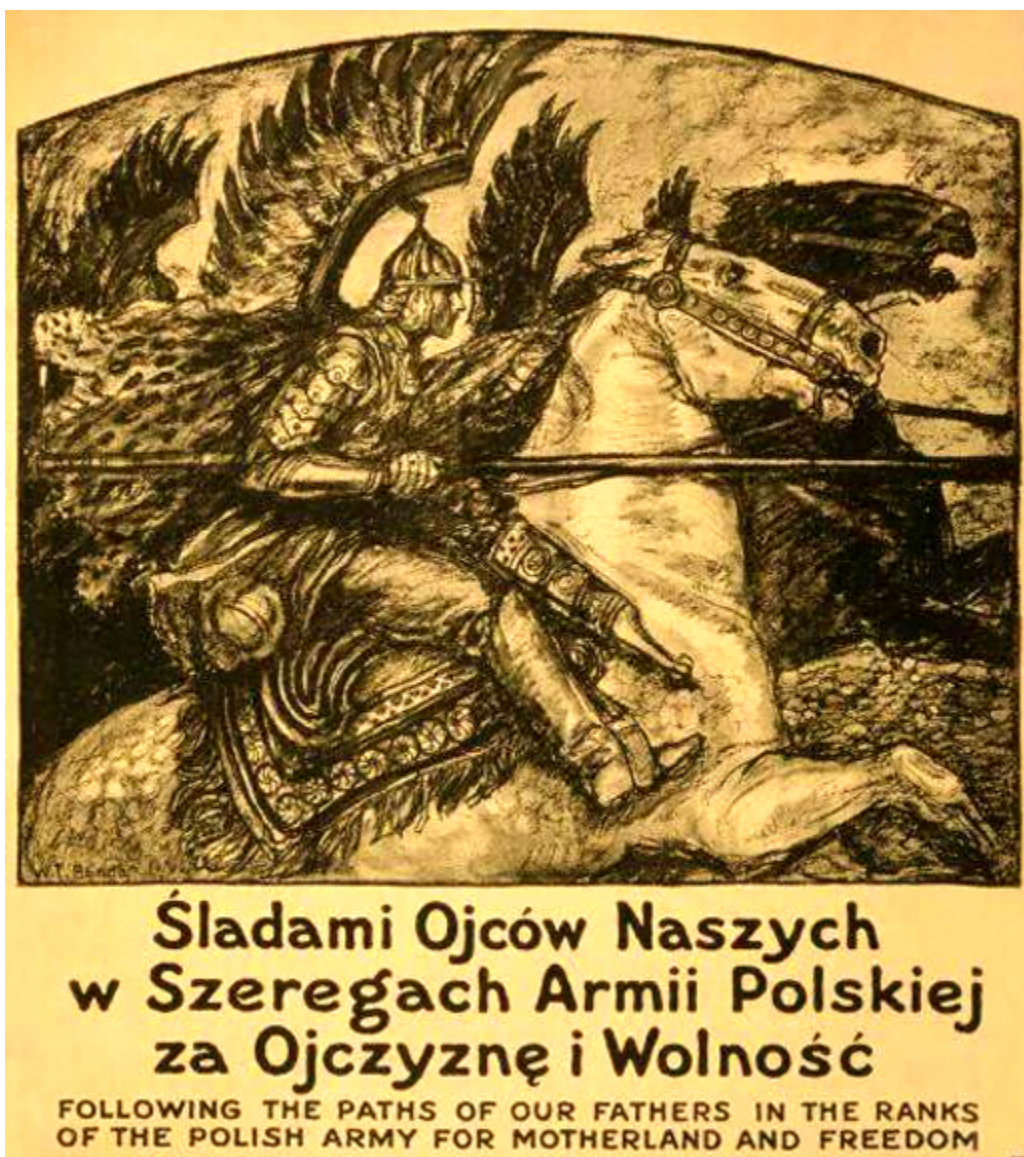
odwaga, wierność, walka i wróg, przy głębszej analizie stają się paradoksami. A samo słowo „honor” bywa dziś przecież rozumiane na bardzo rozmaite, nawet sprzeczne sposoby. Niektórzy uważają je za anachroniczne, inni beztrąsko nim szafują.

„Ojczyzna” też nie jest pojęciem prostym do zdefiniowania. I bywa słowem trudnym do przetłumaczenia. Dość zauważyć, że Niemcy mogą je tłumaczyć jako „Heimat” albo jako „Vaterland” – a to jest co innego (i wyraz „Vaterland” jest dla nich trochę kłopotliwy). Natomiast w angielskim w ogóle nie ma porządnego odpowiednika, bo pseudosynonimy, takie jak sztuczne „fatherland” czy „motherland”, albo wieloznaczne „home” znaczy coś całkiem innego i budzi inne skojarzenia.

Słowa są stare, etos jeszcze starszy, ale ludzkie problemy, które się za nimi kryją, problemy decyzji moralnych, postaw i cech charakteru, wcale nie przebrzmiały. Od tysiącleci są przedmiotem poematów, rozpraw filozoficznych i powieści, obfitują w nie współczesne filmy. W realnym życiu stawali i stają przed nimi zarówno poborowi, jak i zawodowcy, zarówno żołnierze, jak, czasem zwykli ludzie w chwilach próby.

Chciałbym pokazać ogromne, dziś na ogół zapomniane, bogactwo tradycji etosu rycerskiego. Bez jego poznania trudno nam zrozumieć naszych przodków, nawet tych odległych

ledwie o dwa pokolenia. A skróty i uproszczenia zubażają, gmatwają, zaciemniają rzeczywistość.



Władysław Teodor Benda, plakat zachęcający do wstępowania do wojska polskiego, organizowanego przez Ignacego Paderewskiego w USA, dla odzyskania niepodległości Polski.

Profesor Zdzisław Najder

W 1976 roku założył podziemne Polskie Porozumienie Niepodległościowe. W latach 1982-1987 był dyrektorem

Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, skazany w 1983 roku zaocznie na śmierć przez Sąd Wojskowy w Warszawie. W 1991 roku założyciel oraz I prezes Klubu Atlantyckiego, postulującego wejście RP do NATO.

Artykuł ukazał się w piśmie „Polska Zbrojna” nr 01 | 04 stycznia 2009 r.

Czy trzymają się za ręce?

Bożena U. Zaremba

Najpierw mówili, że z Polską będę się czuła związana, dopóki będę miała tam mieszkanie. Kiedy sprzedaliśmy nasze pierwsze gniazdko, usłyszałam, że - dopóki rodzice będą żyli. Kiedy ojciec zmarł - dopóki ich groby tam będą...



fot. pinterest

Cisza. Mimo, że przelotowa droga na Katowice tuż, tuż, w momencie przekroczenia bramy cmentarza w krakowskich Bronowicach, wchodzi się w mikroklimat. Ściszymy głosy, zwalniamy krok. Spokój. Słysząc, jak ktoś nalewa wodę do słoika, żeby podlać kwiaty. Ktoś inny zapala zapałkę. Na trzask mrowiska zniczy, na kwestę w intencji renowacji grobowców,

kiedy popularni aktorzy przytupują pierwszy przymrozek, trzeba poczekać do listopada. A mnie, od ponad piętnastu lat, odwiedzanie grobów kojarzy się wyłącznie z ciepłym polskim latem; nawet mój ojciec zmarł w czasie, kiedy wielu Polaków jest już na plaży, choćby myślami.

Promienie słoneczne prześlizgują się teraz przez soczyste liście topoli, nawet gęste cyprysy muszą ustąpić ich naporowi. Jest ciepło i przyjemnie. Możemy przecież wybrać dzień, kiedy przyjdziemy. Oprócz nas, kilka dosłownie osób. Przechodząc alejkami, patrzę na setki nieznanych, wydaje mi się, że rzadko spotykanych nazwisk. Chociaż... tak nazywała się koleżanka z liceum. Ciekawe, czy to rodzina. Najukochańszy... zmarł tragicznie... nieodżałowany..., a tu, mgr inż. No cóż, ludzkie priorytety.

Tu marmur, złocenia, pomniki, tam chylący się kamień z wytartym nazwiskiem. Tu znowu skromnie, ale czysto - zmarł wiele lat temu, ale znicz się pali. Groby mówią więcej o tych co pozostali niż o zmarłych. Sztuczne kwiaty przywiązane do krzyża, bo w przeciwnym razie jutro by już zniknęły. Tego grobowca w zeszłym roku tutaj nie było, data śmierci sprzed kilku miesięcy. W następnej alejce potykam się o wieniec, słyhać jeszcze echo przemówień i szlochów. Facet w moim wieku. Robi mi się nieswojo. Dalej prowizoryczna kamienna płyta czeka na swojego właściciela. Szybko strząsam z siebie niepokoje, bo dochodzimy

do grobu dziadków. Zabieramy się do porządkowania, w czym dzieci gorliwie pomagają. Po raz kolejny, wyjaśniamy im pokrewieństwa i wspinamy się po drzewie genealogicznym od czterech pokoleń wstecz. Dzieci wydają się być od dawna oswojone z naszymi wyobrażeniami o pośmiertnych losach człowieka, ale pytań nigdy dosyć. „Mamusiu - pyta córka - czy to pani wybiera męża, czy pan wybiera żonę?” Ciekawe, co by odpowiedziała na to babcia, która była mistrzynią zwięzłych, a trafnych odpowiedzi. Ciekawe, jak jej teraz z dziadkiem. Czy ciasno im tam razem, odwracają się od siebie, czy w końcu trzymają się za ręce? Bo przecież dziadek.... Nie, dajmy im spokój. „Wieczne odpoczywanie, racz im dać Panie...”.



Grób rodziny Przerwa-Tetmajerów na cmentarzu w Bronowicach, fot. Bożena U. Zaremba.

Przy wyjściu zatrzymujemy się przy grobowcu rodziny Przerwy-Tetmajerów, który szczególnie zwraca uwagę przechodniów. Na szczycie kamienne czako ułańskie; z jednej strony grobowca lista poległych obejmująca całe pokolenia walczących o polską

niepodległość (daty sięgają połowy XVIII wieku); z drugiej, fragment „Chorału” Kornela Ujejskiego:

I z archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy potem na wielki bój,
I na drgającym szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój

„Patrz - próbuję edukować najmłodsze emigracyjne pokolenie, pokazując na grób obok - to był wielki polski artysta malarz”. A w duchu zastanawiam się czy, w świadomości Polaków, Włodzimierz Przerwa-Tetmajer nie żyje jednak znacznie silniej jako Gospodarz z „Wesela” Wyspiańskiego. Pierwowzorów postaci tego dramatu spoczywa tutaj więcej - niedaleko Kuba, zaraz obok Czepiec.

Ale uwagę dzieci przykuwają inne grobowce, te małe - „Oleńka. Przeżyła siedem lat”. W wieku mojej córki. I jak tu ich przekonywać, że umierają tylko starzy i chorzy? „Mamusiu - córka zadaje następne pytanie, skacząc po alejce - a po co my żyjemy?” I za chwilę sama na nie odpowiada: „Wiem! Po to, żebyśmy mogli kochać Pana Boga!”, a ze spojrzenia widzę, że nie jest to bynajmniej formułka wyuczona na lekcji religii (chyba wdała się w swoją prababcie). Zadowolenie z własnej odpowiedzi wynosi poza bramę.

Po tej stronie Atlantyku jesień zapomarańczowiła się na całego. Wszędzie śmieją się dynie, strachy na wróble, strachy na... ludzi. No cóż, każda kultura ma swój sposób na osvajanie śmierci. Nie tęsknię jednak za chryzantemami, suszonymi bukietami, wieńcami i zniczami, jedynie za tamtą ciszą, za tamtym słońcem i za tamtymi pytaniami.



Artykuł ukazał się w „Przeglądzie Polskim” dodatku do nowojorskiego „Nowego Dziennika” 31 października 2008 r.